

**NIEBO
NA WŁASNOŚĆ**

L U K E A L L N U T T

NIEBO NA WŁASNOŚĆ

tłumaczenie Grażyna Woźniak



OTWARTE

KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału: *We Own the Sky*

Copyright © Luke Allnutt 2018.

The moral right of Luke Allnutt to be identified as the author of this work has been asserted in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act of 1988. All rights reserved

Copyright © for the translation by Grażyna Woźniak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Joanna Mika

Korekta: Joanna Mika, Aneta Wieczorek

Łamanie: Agnieszka Szatkowska-Malak

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: dziecko w objęciach ojca – © Georgijevic / iStock by Getty Images, proszek – © piyaphong / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-502-0



OTWARTE
www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Książkę dedykuję
Markécie, Tommy'emu i Danny'emu*

CZĘŚĆ I

Zanim odeszła, polykała książki jedna za drugą. W swoim ulubionym krześle z twardym oparciem i na łóżku, wsparta o poduszki. Książki wylewały się ze stolika nocnego i piętrzyły na podłodze. Najbardziej lubiła zagraniczne kryminały – przedzierała się przez nie ze skromnie zaciśniętymi ustami i niewzruszenie poważną miną.

Czasami budziłem się w nocy i widziałem, że lampa wciąż się pali: Anna siedziała prosto niczym struna, tak jak ją tego nauczono. Nie zwracała uwagi na to, że nie śpię, chociaż odwracałem się w jej stronę. Wpatrywała się w książkę, chłonąc treść kolejnych stron, jakby zakulała do testu.

Na początku czytała popularnych skandynawskich autorów – Henninga Mankella, Stiega Larssona – ale później poszła o krok dalej: sięgnęła po niemieckie kryminały noir z lat czterdziestych i tajlandzką serię osadzoną w latach sześćdziesiątych na wyspie Phuket. Najpierw okładki książek wydawały mi się znajome – miały rozpoznawalne czcionki i projekty typowe dla największych

wydawnictw – lecz z biegiem czasu stawały się coraz dziwniejsze, wyróżniały się typografią i rodzajem oprawy.

Nagle, któregoś dnia, już jej nie było. Nie mam pojęcia, gdzie się podziały jej książki. Szukałem ich później, żeby sprawdzić, czy niektóre z nich nie przedostały się na moje półki, ale żadnej nie znalazłem. Zakładam, że zabrała je ze sobą, spakowała do jednego z tych swoich różnokolorowych worków na śmieci.

Dni po jej odejściu pamiętam jak przez mgłę. Przypominam sobie znieczulanie. Zaciągnięte zasłony i czystą wódkę. Niepokojącą ciszę, taką jak przed zaćmieniem, kiedy milkną ptaki. Pamiętam, jak siedziałem w salonie, wpatrywałem się w kryształowy kieliszek i zastanawiałem się, czy porcję wódki określa się liczbą palców ułożonych poziomo czy pionowo.

W domu wiecznie panował przeciąg. Strumień powietrza wpadał szparą pod drzwiami i wylatywał przez szczeliny w ścianach. Chyba domyślałem się, skąd pochodzi, lecz nie mogłem tam pójść. Nie potrafiłem się zmusić, żeby wejść na górę. Bo to już nie był nasz dom. Tamte pokoje przestały istnieć, jakby dorośli ze swoimi sekretami zakazali do nich wstępu. Siedziałem więc na dole w tym starym, martwym domu, z zimnym wiatrem owiewającym mi kark. Odkąd oboje odeszli, wszystko splamione było ciszą.

Założę się, że chciałaby mnie teraz zobaczyć, wciśniętego w ponurą wnękę obscurnego pubu – jestem tu tylko ja, migający ekran telewizora i jakiś facet udający niesłyszącego, który próbuje ludziom opchnąć świecące w ciemności breloczki z postaciami Disneya. W drzwiach wejściowych jest dziura, jakby ktoś próbował je wybić kopniakiem, a przez łopoczący przejrzyisty plastik widzę

na parkingu grupkę dzieciaków, palących papierosy i robiących triki na starym BMX-ie.

„A nie mówiłam?” Nie powiedziałyby tego głośno – miała zbyt dużo klasy – ale widziałbym to na jej twarzy; ledwie zauważalnie uniesione brwi, zapowiedź uśmiechu.

Anna zawsze uważała, że jestem trochę nieokrzesany, jak to chłopak wychowany na osiedlu domów komunalnych. Pamiętam jej reakcję, kiedy powiedziałem, że mój tata spędzał każde sobotnie popołudnie na obstawianiu zakładów. Uprzejme zakłopotanie, pełen zadowolenia uśmieszek. W jej rodzinie nikt nie zaglądał choćby do pubu. „Nawet w Boże Narodzenie?”, zapytałem kiedyś. „Tak”, odparła. Mogli co najwyżej wypić kieliszek sherry po lunchu, nic więcej. Woleli przejść się do kościoła.

Na dworze jest już ciemno, a ja nie kojarzę, kiedy zaszło słońce. Przed pubem wykręca jakiś samochód, którego światła omiatają budynek niczym więzienne reflektory. Wracam do baru i zamawiam kolejne piwo. Kilka głów odwraca się w moją stronę, ale z nikim nie nawiązuję kontaktu wzrokowego, unikam spojrzeń i dwuznacznych skinieć głową.

Na stołku przy barze, zwrócony twarzą w kierunku drzwi, siedzi przysadzisty rybak. Opowiada rasistowski dowcip o romansującej kobiecie i wyrywaniu włosa łonowego; przypominam sobie, że już go kiedyś słyszałem, po skończeniu szkoły, w zaułku we wschodnim Londynie, gdzie ludzie wyrzucali stare świerszczyki i puste butelki po coli. Stali bywalcy zaśmiewają się z puenty, ale barmanka w milczeniu odwraca od nich głowę. Na ścianie za jej plecami wiszą zdjęcia rozneglizowanych modelek i oprawione w ramki strony gazet wydanych dzień po jedenastym września.

– Cztery funty i dziesięć pensów, skarbie – mówi, stawiając przede mną szklankę. Ręce mi się trzęsą i kiedy próbuję odliczyć pieniądze, drobne rozsypują się po barze.

– Przepraszam. Mam zmarzniete ręce.

– Wiem. Straszny dziś ziąb. Mogę? – Zbiera monety, a później dobiera resztę z mojej otwartej dłoni, jakbym był stetryczalym emerytem. – Proszę bardzo, cztery funty i dziesięć pensów.

– Dziękuję – mówię lekko zawstydzony, na co odpowiada uśmiechem. Ma miłą twarz, rzadko widuje się podobne w miejscach takich jak to.

Kiedy się schyla, żeby rozładować zmywarę, pociągam długi łyk z piersiówki. To łatwiejsze, niż zamawiać kieliszek wódki do każdego piwa. Takie zachowanie sugeruje, że masz problem z alkoholem, i niepotrzebnie zwraca uwagę.

Wracam do swojego stolika i wtedy zauważam młodą kobietę siedzącą samotnie na końcu baru. Wcześniej towarzyszyła jednemu z przyjaciół rybaka, ale odjechał z piskiem opon swoim podrasowanym hatchbackiem. Ubrana w krótką spódniczkę i skąpą błyszczącą bluzkę, z posklejnymi czarnym tuszem rzęsami, wygląda, jakby wystroiła się na wieczór.

Zerkam na barmankę, upewniając się, że na mnie nie patrzy. Pociągam kolejny łyk wódki i czuję znajomy szum w głowie; żalosną namiastkę rozkoszy. Spoglądam na siedzącą przy barze kobietę. Pije teraz shoty, pokrzykując coś do barmanki, która chyba jest jej znajomą. Gdy się śmieje, prawie spada ze stołka, równowagę i oddech łapie w ostatniej chwili.

Niedługo do niej podejść. Jeszcze tylko parę drinków.

Przeglądam Facebooka, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć ekran. Mój profil jest pusty, w miejscu zdjęcia profilowego widnieje zarys męskiej postaci. Nigdy niczego nie „polubiłem”, nie skomentowałem ani nie złożyłem nikomu życzeń urodzinowych, a mimo to zaglądałem tam

codziennie, przewijałem i oceniałem, przewijałem i oceniałem, zaglądając przez zawilgłe okienka w życie ludzi, których już nawet nie znałem, z ich wschodami i zachodami słońca, wycieczkami rowerowymi po Highlands, niekończącym się strumieniem instagramowych fotek makaronu po tajsku i tostów z awokado, niepojętą dumą ze zjedzenia kolacji w sushi barze.

Biorę głęboki oddech, a później po łyku piwa i wódki. Żał mi tych ludzi. Złaknionych tragedii półgłówków z trójkolorowym albo tęczowym filtrem na zdjęciu profilowym, zmienianym w zależności od tego, czym akurat powinniśmy się przejmować – uchodźcami albo ofiarami ostatniego ataku terrorystycznego w jakiejś dziurze. Tych ich hasztagów i chwytających za serce postów o „ofiарowywaniu”, tylko dlatego że podczas roku przerwy przed rozpoczęciem studiów pomogli zbudować szkołę w Afryce i ucałowali brązową dłoń żebraka wargami skrywającymi śnieżnobiałe zęby.

Siadam tak, aby lepiej widzieć dziewczynę przy barze. Zamówiła kolejnego drinka i śmieje się, prawie rechocze, oglądając filmik na telefonie; pokazuje na niego, usiłując zwrócić uwagę barmanki.

Wracam do swojego telefonu. Czasami zmuszam się do oglądania zdjęć cudzych dzieci. Przypomina to rozdrapywanie świeżego strupa, dopóki znowu nie podbiegnie krwią. Wywracające świat do góry nogami narodziny niemowląt, szczerbate dzieciaki idące pierwszy raz do szkoły z tornistrami na plecach i w za dużych rozpinanych swetrach, a później wakacje na plaży, z zamkami z piasku, fosami i lodami upuszczonymi na ziemię. Duże buty i małe buciki stojące w szeregu na wycieraczce.

I wreszcie matki. Och, te facebookowe mamuśki. Styl ich rozmów, jakby to one wynalazły macierzyństwo, jakby

to one wynalazły macicę, wmawianie sobie, że różnią się od swoich matek, bo w przeciwieństwie do nich jedzą komosę ryżową, zaplatają włosy w cienkie warkoczyki i tworzą na Pinterescie tablice poświęcone zajęciom rękodzielniczym dla opornych dzieciaków w wieku poniżej pięciu lat.

Wracam do baru i stoję obok pijanej kobiety. Wlałem w siebie dość alkoholu, żeby poczuć się lepiej, i nie trzęsą mi się już ręce. Uśmiecham się, a ona odwzajemnia moje spojrzenie, chwiejąc się na wysokim barowym stolku, i obcina mnie wzrokiem.

– Masz ochotę na drinka? – zagaduję wesoło, jakbyśmy się już znali.

W jej szklanym spojrzeniu dostrzegam błysk zaskoczenia. Zmusza się, żeby usiąść prosto.

– Rum z colą – odpowiada, odzyskując pewność siebie. Odwraca się ode mnie i stuka palcami w bar.

Kiedy zamawiam drinki, udaje, że robi coś na telefonie. Widzę jej ekran; przeskakuje między przypadkowymi aplikacjami i wiadomościami.

– A tak w ogóle to jestem Rob – mówię.

– Charlie – przedstawia się. – Ale wszyscy nazywają mnie Charls.

– Jesteś stąd? – pytam.

– Camborne, tam się urodziłam i wychowałam – odwraca się do mnie z powrotem – ale teraz mieszkam u siostry. – Jej oczy przypominają języki jaszczurek, strzela nimi w moją stronę, kiedy wydaje jej się, że nie patrzę. – Pewnie nigdy nie słyszałeś o Camborne, co?

– Zdaje się, że są tam kopalnie?

– Mhm. Chociaż teraz już nie. Mój tata pracował w South Crofty, dopóki ich nie zamknęli. – Dopiero teraz

wychwytuję jej kornwalijski akcent: zjadanie końcówek, miękkie „r”. – A ty skąd jesteś?

– Z Londynu.

– Londyn. Bardzo fajnie.

– Dobrze go znasz?

– Byłam tam ze dwa razy – mówi, zerkając na drugi koniec baru, i głęboko zaciąga się papierosem.

Jest młodsza, niż myślałam, po dwudziestce, ma rudawobrzązowe włosy i miękkie, dziecinne rysy. Jest w niej coś zwichrowanego, coś, czego nie potrafię określić i co wykracza poza wypity przez nią alkohol czy rozmazany makijaż. Wygląda, jakby była z innej bajki, niczym panna młoda, która uciekła z własnego ślubu prosto do baru The Smugglers.

– Czyli jesteś tu na wakacjach?

– Można tak powiedzieć.

– I jak ci się podoba Tintagel? – pyta.

– Dopiero co przyjechałem. Jutro chcę zobaczyć zamek. Zatrzymałem się w hotelu obok.

– Pierwszy raz tutaj?

– Tak.

To kłamstwo, ale nie mogę jej opowiedzieć o prawdziwym pierwszym razie. Przyjechaliśmy całą trójką pod koniec deszczowego brytyjskiego lata, ubrani w kurtki przeciwdeszczowe i szorty próbowaliśmy się osłonić przed wiatrem. Pamiętam, że Jack ganiał po trawie obok parkingu, a Anna bała się, że podbiegnie zbyt blisko krawędzi urwiska – „trzymaj mnie za rękę, Jack, trzymaj mnie za rękę!”. Pamiętam, że wdrapaliśmy się stromą, krętą ścieżką na szczyt klifu, a później niespodziewanie przestało padać i – prawie jak w Biblii – rozstały się chmury, a na niebie pojawiła się tęcza.

– Tęcza, tęcza! – krzyczał Jack, przeskakując z nogi na nogę; wirujące wokół niego liście przypominały języki ognia. Nagle, jakby poczuł czyjś dotyk albo usłyszał szept,

znieruchomiał i spojrzał w górę na strumień światła przesywający chmury i powoli znikającą tęczę.

– Wszystko okej?

– Co? Tak, w porządku – odpowiadam, upijając łyk piwa.

– Myśłami byleś daleko stąd.

– Och, przepraszam.

Nic więcej nie mówi. Wypija połowę swojego rumu z colą i kręci szklanką, wprawiając kostki lodu w ruch.

– Tintagel jest w porządku – stwierdza wreszcie. – Pracuję w miasteczku, w sklepie z upominkami. To moja koleżanka. – Wskazuje na barmankę, tę z życzliwą twarzą.

– To miły pub.

– Całkiem okej. Najlepiej przyjść tu w weekend, a we wtorki organizują karaoke.

– Śpiewasz?

Wydaje z siebie krótkie prychnięcie.

– Raz spróbowałam i nigdy tego nie powtórzę.

– Szkoda, chętnie bym to zobaczył. – Uśmiecham się, wytrzymując jej spojrzenie.

Wybucha śmiechem, odwzajemnia mój uśmiech, po czym wstydliwie odwraca wzrok.

– Jeszcze po jednym? – pytam. – Ja sobie nie odmówię.

– Czyli nie skorzystasz z tego? – Wyciąga rękę i poklepuje kieszeń mojej kurtki, tę z piersiówką.

Jestem zły, że mnie widziała, i kiedy zastanawiam się, co powiedzieć, delikatnie kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Nie byleś zbyt dyskretny. – Chce sprawdzić godzinę, ale przypomina sobie, że nie założyła zegarka, więc sięga po komórkę. – No to zamów nam jeszcze po jednym – chichocze, próbując się zsunąć z taboretu w tej swojej obcisłej spódnicy.

Patrzę, jak idzie do toalety – o czym skwapliwie mnie poinformowała – i widzę zarys jej bielizny pod ubraniem oraz ślad po barowym stołku na udach.

Po chwili wraca, roztaczając wokół siebie woń perfum; widzę, że poprawiła sobie makijaż i związała włosy. Zamawiamy kilka shotów, rozmawiamy, pijemy i pociągamy z mojej piersiówki, później ona pokazuje mi na YouTube filmiki z psami – ponieważ jej rodzina hoduje psy gończe – a jeszcze później nagrania z kamer przemysłowych przedstawiające bójki, ludzi nokautowanych na ulicach – ponieważ jeden z jej kolegów z Camborne był kick bokse-rem, ale teraz siedzi w więzieniu za pobicie.

Kiedy podnoszę wzrok, wszystko jest rozmazane, płyta przeskakuje, światła są nadal włączone, a ja słyszę przenikliwe zawodzenie odkurzacza. Zastanawiam się, czy nie zasnąłem albo nie zemdlałem, ale Charlie nadal siedzi obok mnie; pijemy teraz wódkę i red bulla. Patrzę na nią, a ona uśmiecha się do mnie wilgotnymi, pijanymi oczami i znowu zaczyna się śmiać, wskazując na swoją koleżankę barmankę, która z krzywą miną przesuwając odkurzacza po dywanie.

Wychodzimy z baru po odegraniu krótkiej farsy, gdy powiedziała, że powinna wracać do domu. Idziemy ramię w ramię opustoszałą High Street, chichocząc i uciszając się nawzajem, i wspinamy się po schodach prowadzących do niewielkiego mieszkanka nad sklepem z upominkami, w którym pracuje. Kiedy docieramy na górę, patrzy na mnie. Jej usta mają kształt serca. Czuję przyływ pijackiego pożądania, więc przyciągam ją do siebie. Zaczynamy się całować, wkładam jej rękę pod spódnice.

Po wszystkim leżymy przytuleni na jej wąskim jednoosobowym materacu, nie patrząc na siebie. Doszedłszy do wniosku, że tuliliśmy się dostatecznie długo, ruszam korytarzem w poszukiwaniu toalety. Znajduję włącznik światła i wtedy to, co wziąłem za łazienkę, okazuje się

pokojem dziecięcym. W sypialni Charlie praktycznie nie ma mebli, za to ta przypomina salon wystawowy. Jest tu lampka w kształcie samolotu i ten sam motyw, w odpowiednim powiększeniu, namalowany na ścianie. Schludnie ułożone pudła pełne zabawek. Biurko, na nim kredki i sterty papieru. Na tablicy wisi mnóstwo świadectw i dyplomów za zwycięstwa w zawodach judo, mistrzostwach piłki nożnej i bycie szkolną supergwiazdą.

Obok łóżka stoi lampka nocna i nie mogę się powstrzymać od jej włączenia. Patrząc, jak na suficie wyświetlają się bladoniebieskie księżycy i gwiazdki. Podchodzę do okna, wdychając delikatny zapach płynu do płukania tkanin i dziecięcego szamponu. W kącie dostrzegam żółtą latarkę, taką samą, jaką miał kiedyś Jack. Biorę ją w dłoń, czując pod palcami twardy plastik, solidną gumę i duże guziki stworzone z myślą o drobnych, niewprawnych palcach.

– Cześć – odzywa się Charlie tak niespodziewanie, że aż podskakuję. Jej ton jest niemalże pytający.

– Przepraszam – dukam i nagle czuję się bardzo trzeźwy, zaczynają mi się trząść ręce. – Szukałem łazienki.

Charlie spogląda na moje dłonie i dociera do mnie, że nadal trzymam w nich latarkę.

– Mój synek – mówi. W jej twarzy odbija się księżyc z lampki nocnej. – Nocuje dziś u mojej siostry, dlatego mogłam wyjść na miasto. – Wyrównuje papier i kredki, układając je równolegle do krawędzi biurka. – Dopiero co urządziłam ten pokój – dodaje, chowając coś do szuflady nocnego stolika. – Musiałam sprzedać dużo swoich rzeczy, aby za to wszystko zapłacić, ale wyszło ładnie, prawda?

– Wygląda uroczo – mówię i naprawdę tak myślę. Uśmiecha się do mnie i stoimy tak przez chwilę, obserwując wirujące po pokoju planety i gwiazdy.

Wiem, że Charlie ma ochotę mnie o coś zapytać: czy mam dzieci albo czy lubię dzieci, ale nie chcę odpowiadać na żadne z tych pytań, więc ją całuję; nadal smakuje wódką i papierosami. Chyba nie czuje się komfortowo, całując się ze mną w pokoju swojego syna, więc się odsuwa, wyjmuję mi z rąk latarkę i ostrożnie odkłada ją z powrotem na półkę. Wyłącza lampkę nocną i wyprowadza mnie na korytarz.

Kiedy znów leżymy na materacu, czule cmoka mnie w szyję, tak jak całuje się dziecko na dobranoc, po czym odwraca się do mnie plecami i bez słowa zasypia. Jej bok jest odsłonięty, a w pokoju panuje ziąb, więc wyciągam rękę, opatulam ją kołdrą i myślę o Jacku. „Otulony jak robak w kubraku”. Wypijam resztkę alkoholu z piersiówki i leżę z otwartymi oczami w bladym bursztynowym świetle, wsłuchując się w jej oddech.